

Chińskie więzienia nie mają ścian – cz. 1

15 sierpnia 2008

NA KARUZELI

Siedziałyśmy z E. na placu Katedralnym pod pomnikiem Giedymina, każda z nas ciałem w centrum Wilna, ale myślami zupełnie gdzie indziej.

– Ja nic nie rozumiem, czemu nie zostaniesz w Londynie?

– Znasz to uczucie, kiedy karuzela już przestała się kręcić, a ty wciąż siedzisz przypięta do krzeselka?

Mimo kwietnia wiatr nadal był lodowaty, ale nic tak nie rozgrzewa jak pewność, że za rok o tej samej porze będzie się zupełnie gdzieś indziej i że nie wiadomo z kim, i że nie wiadomo z której strony będzie wiał wiatr, i że język, którym będzie się z tym kimś rozmawiać – jeszcze jest zupełnie obcy.

Napiszę, że przez dwa lata w Londynie nic takiego się nie wydarzyło, bo napisanie czegokolwiek innego skończyłoby się kilkunastostronicową dygresją – tak więc w Londynie nic się nie wydarzyło, ba, było nawet trochę nudno, o ile w ogóle można ten przysłówek zastosować do miasta, którego dzielnice różnią się między sobą bardziej, niż kraje Europy. Jednak gdy tylko opuściłam je na kilka tygodni, historyczne wydarzenia zaczęły się sypać jak z rękawa. W chwili gdy wsiadałam do autobusu trasą London-Reading na Victoria Coach Station, w Hyde Parku zaczynał się Live 8, zaraz po którym świętowano przyznanie prawa do organizacji Olimpiady 2012, po czym miały miejsce dwa zamachy bombowe, a ja otoczona wielonarodowościową dzieciarnią lizałam ekran telewizora w angielskiej szkole z internatem wielkości wioski, oddalonej od jakiegokolwiek cywilizacji (czyli hipermarketu Sainsbury's) o dobre 7 km. Na maile o treści „żyjesz???” z nieświadomego mego wyjazdu z

Londynu świata, zwięźle odpowiadałam „NIE”, nie mogąc pozbyć się tego irytującego wrażenia, że coś mnie omija. Nie, żeby praca w P... była czasem straconym, bo niewątpliwie nauczyciel powinien znać przekleństwa w co najmniej pięciu językach europejskich i opanować sztukę celnego rzucania nożami, ale to zupełnie inna historia.

– Wysłałam podania do paru szkół w Chinach – rzuciłam pewnego dnia, gdy półleżąc na rozsypujących się sofach, delektowaliśmy się ciszą – dzieciaki pojechały na wycieczkę, co do której mieliśmy nadzieję, że będzie długa i zakończy się udanym zamachem bombowym.

– No i co, naprawdę być tam pojechała? – odparł ktoś z powątpiewaniem.

Powątpiewanie było dobrze znanym mi uczuciem, jeśli nie stanem umysłu, który udziela się każdemu, kto finansowo dynda na nitce, próbując uczyć angielskiego w Anglii czy też gdziekolwiek indziej, nie będąc Brytyjczykiem, Kanadyjczykiem, Amerykaninem, Australijczykiem ani nawet obywatelem RPA czy Zimbabwe. Chiny zaczęły więc wyglądać wcale kolorowo, gdy przyszło zaproszenie na rozmowę.

– ... jak pani myśli, czego może się spodziewać Europejczyk, pracujący w Chinach?

Łatwiej Przewidzieć, czego może się spodziewać w Londynie Europejczyk, jadący na rozmowę o pracy z Richmond na Waterloo: przepełnionych autobusów, które nie chcą się zatrzymać, District Line zamkniętej z jakiegokolwiek powodu, bo każdy równie dobry i ogólnie rzecz biorąc wiatru, wiejącego w oczy z różnych kierunków.

– Możliwe, że będę jedyną osobą w mieście, która nie ma czarnych włosów.

– Hmm... Pan z Manchesteru, który na rozmowę ze mną leciał stamtąd tak samo długo, jak ja jechałam z zachodniego Londynu,

zrobił poważną minę.

– Jak by się pani na to zapatrywała?

– Mieszkałam kiedyś na Hackney. Z własnej woli.

– Pekin i Szanghaj nie wchodzi w grę, za dużo obcokrajowców... To gdzie dokładnie chciałaby pani pracować? – Pan z Manchesteru spojrział kątem oka na mapę Chin. Czyżby to znaczyło, że jadę? I że przez rok nie będę martwić się o rachunki i jedzenie? Pan z Manchesteru zasługiwał na szczerą odpowiedź.

– Wszystko jedno.

* * *

– Co??? Gdzie??? – reakcja Zuzanny nie wykraczała poza standardową reakcję otoczenia na moje „jadę do Chin”. – Na rok???

Wiedziałam, co miała na myśli – nie będę mogła tak po prostu wskoczyć w samolot Ryan Air do Wrocławia i zamienić Middlesex na Dolny Śląsk w ciągu dwóch godzin. Moi chińskojęzyczni malezyjscy współlokatorzy zareagowali mniejszym zdziwieniem i niemal od razu zaczęli uczyć mnie chińskiego, a w szczególności różnicy między ma, ma, ma a ma, czyli tonów. Skoro już jestem przy słowach, dwa lata wcześniej różnica między słowami „rok” a „nieskończoność” wydawałaby mi się zapewne mniejsza, ale teraz „rok” to po prostu dwanaście miesięcy. Chłopak Zuzki na wieść o moim rocznym wyjeździe zareagował spokojnym „Taa..., to sobie dziewczyna ryżu poje...”.

Informacji o Wenzhou nie mogłam znaleźć. Miasto niewątpliwie istniało na mapie, musiało więc też istnieć w Internecie. Chyba, że nie było tam nic wartego opisanie. Po przeczytaniu „welcome pack”, przysłanego przez szkołę, doszłam do wniosku, że wybieram się na inną planetę: „(...) ludzie rasy mongoloidalnej odznaczają się prawie całkowitym brakiem

gruczołów potowych pod pachami, w związku z czym nie odczuwają potrzeby używania dezodorantów. Mogą być one w Chinach trudne do nabycia, weź więc ze sobą roczny zapas. Jeśli masz duży rozmiar obuwia, weź ze sobą kilka par butów na różne pory roku. Ze względu na znikome owłosienie u kobiet, nie ma w sprzedaży kremów ani innych środków do depilacji. Bądź przygotowany na to, że twoje ulubione jedzenie może okazać się nieosiągalne. Wskazane jest zaszczepienie się przeciwko żółtaczce typu B.”

Na buty i „ulubione jedzenie” mi nie starczyło, na szczepionkę było już za późno, kupiłam więc tylko dezodorant, paczkę jednorazowych maszynek do golenia, coś przeciw bieguncie i płyn, odstraszający komary. Mój paszport wygasał za pół roku, więc mieściłam się jeszcze w przepisach. Wszystkie moje oszczędności przeznaczyłam na bilet i starałam się nie myśleć, co będzie, jeśli okaże się... starałam się nie myśleć. Wszystko przypominało skok na główkę do basenu, w którym być może wcale nie ma wody.

* * *

Wysiadając z samolotu w innej strefie klimatycznej ma się silne wrażenie bycia „gdzieś indziej”, nawet organizm wydaje się być nieco zdziwiony inną temperaturą. Czekając w Szanghaju na samolot do Wenzhou wychyliłam na chwilę nos z klimatyzowanego budynku i... poczułam się, jakby ktoś usiłował mnie zakneblować. Powietrze było gorące i gęste od wilgoci – choć pewnie nie było bardziej gorąco niż podczas upalnego polskiego lata, wysoka wilgotność działała obezwładniająco. Wrażenie to byłoby jak najbardziej na miejscu przy wejściu do palmiarni lub na kryty basen, więc gdy wchodzi się do budynku, ale nie wówczas, gdy się z niego wychodzi. To było niewątpliwie coś dla mnie nowego. Wycofałam się do hallu, podziwiając tych, którzy na zewnątrz oddawali się takim normalnym ludzkim czynnościom jak chodzenie, dźwiganie bagaży czy ratowanie dzieci przed pewną śmiercią pod kołami różnych pojazdów, świadoma tego, że jest przecież wrzesień, wcale nie

najcieplejszy miesiąc w roku.

Po godzinnym locie (miejsce przy oknie, z widokiem na skrzydło, rzecz jasna) czekała mnie powtórka z „palmiarni” oraz Alice, która nie miała żadnego problemu z wyłowieniem mnie z czarnowłosego tłumy. Muszę przyznać, że widząc ją doznałam ulgi – więc naprawdę mam pracę w tym kraju! Temperatura nie dziwiła mnie już tak bardzo, patrząc przez okno samochodu na mijające nas miasto, miałam dziwne w tej sytuacji wrażenie normalności. Mijałyśmy po drodze rosnące na klombach tropikalne rośliny o wielkich liściach i gigantyczne kaktusy, żyłaści rykszarze bez przerwy zajeżdżali nam drogę, drobne, szczupłe kobiety rozkładały połyskujące w słońcu satynowe parasolki, nazwy sklepów i ulic wyglądały jak dzieło szaleńca, uzbrojonego w pędzel; nic tutaj nie przypominało Europy, ale jednocześnie wszystko było najzupełniej normalne, jakby nikt oprócz mnie nie zdawał sobie sprawy z inności tego miejsca. Nieświadomość ta była obustronna, bo i ja nie zdawałam sobie sprawy ze swojej nowo nabytej egzotyczności. Alice zaprowadziła mnie do mieszkania na siódmym piętrze bloku identycznego z kilkudziesięcioma innymi w okolicy, to znaczy bez windy i z zajmującymi praktycznie całą ścianę oknami na klatce schodowej. Było w tych oknach coś dziwnego i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, co to było – okna nie miały szyb. Jakakolwiek pogoda panowała na zewnątrz, taka sama była w środku. Starając się ignorować upał oraz odpowiednie do wrześniowej londyńskiej pogody ubranie, które nagle zrobiło się ciężkie jak strój nurka z końca XVIII wieku – w sumie dosyć adekwatny, biorąc pod uwagę poziom wilgotności – wdrapałam się na owo siódme piętro z moim 27-kilogramowym plecakiem. Zwrot „cieplarniane warunki” nabrał nieco innego znaczenia.

Jet lag długo nie dawał o sobie znać. Po zapoznaniu się z klimatyzacją, niewątpliwie największym wynalazkiem ludzkości, jedną Angielką, dwoma Kanadyjczykami i bardzo dziwnym osobnikiem z RPA, osiągnęłam ten błogi stan, jaki osiąga się

we śnie, gdy wiemy, iż mamy wpływ na wydarzenia i możemy się obudzić kiedy tylko chcemy, z tą różnicą, że ja mogłam zasnąć, kiedy tylko chciałam. Ze względu na senną obojętność, jet lag jest niezłym sposobem na uniknięcie stresu, związanego z wylądowaniem na innym (INNYM) kontynencie – przynajmniej przez dwa dni nie byłam w stanie niczym się przejąć. Spanie nie było jednak takie proste – w ciągu dnia zza okna dochodziły monotonne nawoływania, przypominające mantrę, która potrafiła dobrze wtopić się w sen jako tło dźwiękowe, za to w środku nocy tuż pod moimi oknami... ktoś odpalił fajerwerki! Jak zrobiłby każdy człowiek, przebudzony o drugiej w nocy (czyli o 19.00), wyskoczyłam z łóżka i wyjrzałam przez okno – zamknięte, żeby nie wpuścić fajerwerków do środka, spodziewając się zapalanych jedno po drugim świateł w oknach bloku naprzeciwko oraz ewentualnie odzianych w piżamy obywateli, głośno informujących po chińsku smarkaczy z dołu, skąd im powyrywają nogi, co pewnie i tak jest lżejszą z chińskich tortur. Jednak nic takiego się nie stało. Nie zapaliło się ani jedno światło, a jedyny odgłos stanowiło echo fajerwerków, krążące między budynkami. Jak się później dowiedziałam, był to pogrzeb.

* * *

Właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad swoim kolorem włosów, jest jaki jest, nie wpływał on zasadniczo na moje życie, choć może zmuszona byłam wysłuchać więcej kawałów o blondynkach niż nie-blondynki. W Chinach zmienił on więcej, niż się spodziewałam. Już po pierwszej wizycie w szkole wiedziałam, że w rzeczy samej jestem jedyną blondynką w Wenzhou – dziwnym trafem spośród dziesięciorga obcokrajowców, tylko ja miałam jasne włosy. Byłam więc mniej więcej tak zauważalna jak Afrykanin w średniej wielkości polskim mieście. Nie sposób było przejść ulicą bez „hello!”, sypiących się ze wszystkich kierunków albo dzieciaków gapiących się z otwartymi ustami i ciągnących matki za rękaw „mama, waiguoren!” Przeszło mi przez głowę, że jeśli popełnię jakąś publiczną gafę czy

przestępstwo, będzie o tym wiedzieć całe miasto, a przynajmniej dzielnica.

* * *

Szósta rano. Wstałam z łóżka i powlokłam się do kuchni, żeby napić się wody z dystrybutora (każde mieszkanie zaopatrzone w biurowy zbiornik z wodą, bo woda z kranu nie nadawała się do picia). Przez zakratowane okno nad zlewem było widać bloki w sennie szarym kolorze. Coś mignęło w dole. Spojrzałam z wysokości mojego siódmego piętra na wybetonowany plac, przypominający boisko, ale na wąskim kawałku, widocznym pomiędzy blokami nie działo się nic. W chwili kiedy zaczęłam tracić zainteresowanie widokiem zza okna, na placu na dosłownie kilka sekund pojawiła się ubrana w bluzkę w kwiatki starsza pani z połyskującym w porannym słońcu sporej długości... mieczem! Kobieta w zwolnionym tempie zamachnęła się nim, przecinając na pół niewidzialnego przeciwnika, po czym wykonała zwrot i zniknęła za budynkiem. Zamarłam zaintrygowana. Moja sąsiadka po chwili pojawiła się znowu, wykonując podobny ruch, plecami do mnie. To musiało być Tai chi.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: Vanda Zakrzewska

Źródło: [„Ulica Wszystkich Świętych” nr 2 \(98\) 2008](#)